

 Sebastian Milbank¹

 <https://orcid.org/0000-0001-6378-7443>

Zachód w stanie wojny: rozruchy społeczne i pojednanie w czasie wojny kulturowej

 <https://doi.org/10.15633/9788383701073.08>

Wygląda na to, że żyjemy w czasach wojny. Jest to *odczuwalne* dla osób żyjących współcześnie. Jednakże temu poczuciu katastrofizmu, które zdaje się być niemal uniwersalne, wydaje się zaprzeczać rzeczywistość empiryczna. Po 23 latach XX wieku świat miał za sobą katastrofalną wojnę światową, która wszystkich pozbawiła złudzeń i z której mrocznego serca wyrosły totalitarne ideologie komunizmu i faszyzmu. Natomiast po upływie 23 lat naszego stulecia wszyscy żyjemy dłużej, poziom ubóstwa na całym świecie został zredukowany, a pomimo wszystkich bolesnych konfliktów rozgrywających się w naszych czasach, Zachód nie stoi w obliczu żadnego konfliktu, który można by porównać choćby z wojną w Korei i Wietnamie; nie ma też odpowiednika zagrożenia ze strony Sowietów. Wszelkie znaki wskazują, że żyjemy w czasach

1 Publicysta podejmujący zagadnienia z dziedziny religii, etyki, polityki i spraw kościelnych. Były stażysta Newmana w „The Tablet”, obecnie redaktor naczelny magazynu „The Critic”.

drobnych, paskudnych wojenek, a nie nieokiełznanych holocaustów w ramach totalnych konfliktów globalnych. Mimo to jednak ten dysonans między wszechogarniającym poczuciem katastrofy a brakiem konkretnych przedmiotów naszego strachu tak naprawdę pogarsza nasze samopoczucie. Podobnie jak suspens w kinowym horrorze, nieustannie narasta napięcie, zaś apokalipsa wydaje się czaić niczym strzelba Czechowa, czekając, aż ktoś z niej w nieunikniony sposób wypali.

Moim zdaniem to nasze ciągle poczucie kryzysu wynika nie tyle z narażenia na gorsze zagrożenia w XXI wieku, ale z tego, że czujemy się wobec nich nadzy. To echo kryzysów sprzed 100 lat, ponieważ kiedy ucichły strzały, nadeszła pustka niegdyś panującej polityki liberalnej. Po kulminacji zimnej wojny przeszliśmy kolejny okres liberalnego triumfalizmu w postaci wojny z terroryzmem. Choć jej koszty były znacznie niższe niż w przypadku Wielkiej Wojny, to była ona chyba co najmniej równie cyniczna w swych podstawach i sposobie prowadzenia. Głównym skutkiem tego potwornego przedsięwzięcia cywilizacyjnego było pomieszenie tego, co związane z walką, co sprzeczne z prawem i co cywilne, co zezwoliło nie tylko na realizowane z użyciem dronów zabójstwo za granicą, ale także na masową inwigilację i naruszanie swobód obywatelskich w kraju.

Wojna nęci, ponieważ oferuje jasną linię podziału, brutalny porządek binarny, który wydaje się obietnicą przywrócenia czystości moralnej i kolektywnej tożsamości. Chaos lat 30. XX wieku ustąpił w obliczu kolejnej wojny, która była wszystkim tym, czym ta pierwsza nie była – znamienita krucjata zastąpiła ubłocony kielich mszalny. Skłonne do uproszczeń systemy totalitarne wykonały swe zadanie polegające na wyjaśnianiu, choć ostatecznie skutecznie wcieliły się w rolę łotra – najpierw w czasie II wojny światowej, a później zimnej wojny. Szpetota i zamęt tych konfliktów popadły strategicznie w niepamięć, przynajmniej na tyle by – jakże korzystnie – podtrzymywać mit.

Następuje rozpad zachodniej liberalnej tożsamości, którą przez tak długi czas negatywnie definiowano jako niebędącą faszyzmem ani komunizmem. Choć było to nieuniknione, nie sposób nie żałować utraty solidarności oraz powszechnej demoralizacji, które za sobą pociąga. Integralnymi elementami działań podejmowanych w ramach zimnej wojny były chrześcijaństwo i polityka klasy pracującej. Trudno byłoby znaleźć lepsze miejsce, gdzie mógłbym opowiedzieć tę historię, niż to, w którym się dziś znajduję, czyli seminarium, w którym studiował święty Jan Paweł II. Swobody obywatelskie, sprawiedliwość gospodarcza i cywilizacja chrześcijańska połączyły szyki w walce

z komunizmem, a ich sojusz uosabiał ruch Solidarności, którego symbolem był kochany, popularny Papież. Gdzie jest dziś Solidarność – jak wczoraj tak dobitnie pytali uczestnicy dyskusji? Polskę w takim samym, a może nawet większym niż państwa regionu Oceanu Atlantyckiego, stopniu absorbują płonne nadzieje wynikające ze zwycięstwa w zimnej wojnie.

Logika binarnego podziału, która wydawała się dawać nam siłę, pewność i solidarność, zwróciła się do środka w akcie zemsty. Lewica wybrała na nowego łotra chimerę „białej supremacji” z towarzyszącym jej „eurocentryzmem” i to czai się – jakże dogodnie – w każdym elemencie naszej historii, kultury i polityki. Z kolei postępowcy stali się złym duchem prawicy, prowadząc do powstania wzajemnie napędzającej się logiki wrogości, którą określamy mianem „wojny kulturowej”.

Jakkolwiek wielki, zły Inny stanowił bodziec do względnej jedności w czasie zimnej wojny, dzisiejsi łotrzy nie są Niemcami po drugiej stronie wzgórza ani nawet Sowietami pod łóżkiem. Jeśli można wierzyć rozdziałowi genderowemu współczesnej polityki prawicowej/lewicowej, niemało ludzi budzi się obok wroga. Zamiast wzmacniać solidarność, wojna kulturowa bezwzględnie masakruje społeczeństwo, odrywając wieś od miasta, młodych od starych, pracowników fizycznych od umysłowych i mężczyzn od kobiet. Choć dawne podziały klasowe podlegały negocjacom i były zorientowane na godzenie się, to współczesne są wpłątane w niemożliwe do rozwiązania problemy tożsamości, kultury i polityki społecznej.

To właśnie jest źródło naszego wszechogarniającego lęku – Agamben nazywa to *stasis*, posługując się starożytnym greckim terminem oznaczającym rozruchy społeczne. Może to oznaczać dosłowną bitwę, ale zgodnie z definicją zaproponowaną przez filozofów, np. Platona, państwo podzielone na frakcje stanowi tak naprawdę dwa różne państwa w stanie wojny, a w pewnym sensie w okresie takiego podziału nie ma organizmu państwowego. W swej książce Agamben bawi się podwójnym znaczeniem tego terminu, opisując nasz współczesny stan jako pewną postać globalnej wojny domowej, w której wszystko jest „wewnętrzne”, a zarazem nie ma organu ani klasy odpowiedzialnej zdolnej przynieść rozwiązanie lub sens, z wyjątkiem „regulacji” biopolitycznej – pewnej formy anty-polityki.

W 2015 roku Agamben przewidział dystopijną biopolitykę pandemii, dostrzegając w liberalnej logice Hobbesowskiej suwerenności stan awaryjny, kiedy to obywatel ustępuje zastępującej go „niereprezentowalnej wielkości”, którą „mogą reprezentować jedynie pilnujący posłuszeństwa strażnicy oraz

opiekujący się nią lekarze. Mieszka ona w mieście, ale jedynie jako przedmiot obowiązków i obaw tych, których sprawują władzę”.

Pozbawieni wrogów, lecz osaczeni przez tajemnicze zagrożenie, jesteśmy ofiarami globalizacji, która weltgeista przedstawia jako poltergeista. Ofiarami światowych niepokojów. My sami, jako masa niereprezentowanych i niereprezentowalnych ludzi, stajemy się masą złowieszczą, upiorną siłą destabilizującego „populizmu”.

Jak się poruszać w tej niezwykle wieloznaczności? Jak podejmować działania polityczne i moralne w świecie, w którym odpowiedzialność rozprasza się w atmosferze, a nawet krajowe elity mogą zostać sprowadzone do służ niewidocznego globalnego bezładu? Życie chrześcijańskie wydaje się beznadziejnie mroczne, nie mówiąc już o polityce chrześcijańskiej.

Ten czas na pozór maksymalnego lęku jest – jak mówi Kierkegaard – również chwilą maksymalnej wydajności i znaczenia. To uznanie własnej wolności, upadku ograniczeń, a zarazem znajomości grzechu. To punkt wyjścia, który pozwoli nam przywrócić własną ludzkość i naprawdę stworzyć politykę chrześcijańską. Jak jednak przebiega proces przeobrażenia rozpacz w nadzieję?

Istnieje idea pochodząca z tego samego starożytnego świata, który dał nam *stasis*. Dzieli z nim nawet rdzeń słowotwórczy. To *aristeia*. Jest to ideał wojennej szlachetności materializującej się w horrorze i przypadkowości wojny, często osiąganey tuż przed śmiercią, najbardziej przejmująco wyrażony w *Iliadzie*. W swej pracy poświęconej temu poematowi Simone Weil sugeruje, że najczystszy triumfem miłości, najwyższym atutem wojny, jest przyjaźń przepełniająca serca śmiertelnych wrogów, jako że w owej chwili zmniejsza się dystans między dobroczyńcą a petentem, między zwycięzcą a zwyciężonym.

Nasz obecny ruch egzystencjalnego zamętu i podziału przywraca nas do samych źródeł tego, co nazywamy Zachodem. W książce *Rome: The First Book of Foundations* Michel Serres opowiada o momencie założenia Rzymu, kiedy to zbieranina plemion i uchodźców z miasta Romulusa, desperacko poszukując narzeczonych, decyduje się zwabić Sabinów na igrzyska, by uprowadzić ich córki. Ta wojna była czystym chaosem, świętokradztwem w dzień święty, zdradą gości, wprowadzeniem przemocy i wrogów w samo serce państwa, bitwą domową. Jak się zakończyła? Dzięki kobietom.

Wojna wprowadza sztuczne podziały, a później sztuczne zamieszanie. Wyraźny podział ustępuje uniwersalnej fragmentacji. „Kobiety z gołymi głowami, na wpół nagie, rzucają się między szeregi”. W tragedii opisaney w *Iliadzie*

Helena Trojańska sprowadzona zostaje do trofeum lub poniżona jako uwoźniczka, nie zważając na jej moc. Z jej bierności i poddaństwa rodzi się unicestwienie Troi. W Rzymie – mieście, które można określić jako córkę Troi – istnieje zagrożenie, że tragedia porwania Heleny się powtórzy – nastąpi „z wielokrotności Heleny Trojańskiej”. Coś się jednak zmienia. „Poznają oni system wojenny; wprawiają go w ruch, rozdzielają. Wygrywają emocje, zapada cisza, szerzy się spokój. Dochodzi do zawarcia traktatu. Sabinowie otrzymują zaproszenie, by dołączyć do Rzymian. Dwa państwa staną się jednym pod władzą dwóch królów. Tak: początkowo gościnność zmieniła się we wrogość, ale ta sama siła sprawia, że wrogość przekształca się w gościnność”.

Dzięki pogodzeniu pozornych przeciwieństw, dzięki splataniu i wiązaniu, zasadą wprowadzającą porządek staje się pokój, nie przemoc, obywatelstwo, nie podbój. W szczytowym momencie kryzysu Sabinki przybrały rolę raczej Penelopy niż Heleny i w ten sposób uratowały państwo. Miasto pogrążone w stanie wojny domowej stanowi najlepszą szkołę dla mężów stanu, jak pisze Platon w swym dialogu pt. *Prawa*²:

„Najwyższym dobrem nie jest zwycięstwo w wojnie domowej ani zewnętrznej, ale wspólny pokój i dobra wola, podobnie jak w ciele lepsze jest zdrowie od oczyszczania chorobą. Ktokolwiek czyni swym prawdziwym przedmiotem wojnę, a nie pokój lub kto dąży do wojny zamiast do pokoju, nie jest prawdziwym mężem stanu”. Zdaniem Platona mężowie stanu, którzy przynoszą pokój, znaczą więcej od bohaterów wojennych, ponieważ „w wojnie domowej niezbędna jest nie tylko odwaga, ale także sprawiedliwość, umiar i mądrość, a całość cnoty jest lepsza niż jej część.

Rozruchy społeczne, a dla nas cywilizacyjne, stanowią najwyższy test cnót obywatelskich, ponieważ wpychają nas w konflikt wewnętrzny z naszymi najbardziej niebezpiecznymi tendencjami duchowymi. W ramach rosnącego ubóstwienia autonomii jednostki i neoliberalnego *homo economicus* znajdujemy czystą politykę apetytu, perwersyjnego erosa, który atakuje ludzką godność i prowadzi, jak dawno temu ostrzegał Platon, do tyranii ze strony tych, którzy zaspokajają nasze pragnienia. Teraz „wolnością” nazywamy rządy perwersyjnego erosa, który zabija ciało i umysł, nabijając kabzę elitom.

2 Tak naprawdę tekst pochodzi z przedmowy do tego dialogu (przyp. tłum).

Większą czujność na to niebezpieczeństwo wykazują prawicowi dysydenci, którzy jednak ulegają pokusie nie w mniejszym stopniu dostrzeganej przez Platona. Siła – jak słusznie stwierdziła Weil – wiąże się z „uduchowionymi” aspektami duszy, nazywanymi przez Platona *thumos*, i w swoim prawie wydaje rozkazy oraz dyscyplinuje duszę, powściągając nasze apetyty i nimi kierując. Kiedy jednak państwem rządzi sama tylko siła, miasto zaczyna przypominać koszary, a my dostajemy timokrację, która w nieunikniony sposób ulega degeneracji i przechodzi w oddawanie czci władzy dla niej samej.

Okręt państwa tonie, pozbawiony nadziei, o ile za sterem nie stanie zręczny nawigator – król-filozof. To wyrażnie wspaniałe ujęcie każe wielu pokoleniom myślicieli politycznych, symbolizowanych przez Karla Poppera, odrzucać Platona, jako wzywającego do idealistycznych, autorytarnych rządów eksperta. Jak jednak widać w dialogach pt. *Polityk i Prawa*, „król-filozof” to prowokacyjna binarność, dwa wyrażnie przeciwne bieguny, które po połączeniu dają nam postać męża stanu. Stworzony na podobieństwo Solona, mąż stanu jest prawodawcą i mediatorem w znacznie większym stopniu niż autokratą. Zależy, aby mąż stanu stara się stworzyć wolnych obywateli, a rządzi metodą zgody i perswazji.

Pragnienie nie jest, jak rozumiał to Freud, tłumione, ponieważ zarówno pragnieniem, jak i siłą, rządzi kochający rozum, kierujący je w stronę wyższego Erosa, którego chrześcijanie nazwą i poznają jako *caritas*. Nasze indywidualne poczucie egzystencjalnego przemieszczenia i fragmentacji, cudownie oddane przed wiekiem przez T. S. Eliota w *Jałowej ziemi*, przypomina statek wśród oszalałych fal:

Skubały mu kości
Prądy szepczące i schodził w otchłanie.
Życie swoje powtórzył, gdy wzniósł się i spadł.
Wir wchłonał pamięć lat jego młodości.
Ktokolwiek jesteś, żyd czy też poganin?
Ty, który kręcąc kołem słuchasz, jak wiatr grzmi
Zważ: i Phlebas piękny był niegdyś, wysoki jak ty³.

3 T. S. Eliot, *Jałowa ziemia*, tłum. C. Miłosz, [w:] *Poeci języka angielskiego*, wybór i opracowanie H. Krzeczkowski, J. S. Sito, J. Żuławski, Warszawa 1974, s. 66–67.

To *memento mori*, ale także przypomnienie chaosu świata i pragnienia, „zysku i straty”. Wspomnienie śmierci to słuchanie, „jak wiatr grzmi”, to umieszczanie siebie na wiecznym horyzoncie. W prawdziwym życiu statki „przypinają się do nawietrznej”, płynąc pod wiatr, do którego zbliżają się po skosie, zygzakiem.

Analogicznie, ten przeplatany ruch można odczytać jako liturgiczny rytm życia zorientowanego na Boga. Nie zbliżamy się bezpośrednio do tronu, ale raczej dążymy do harmonii i równowagi duszy między życiem kontemplacyjnym a aktywnym, *ora et labora*. Ta równowaga działa również na poziomie politycznym w postaci zestrojenia różnych zawodów i charakterów, klas i kultur.

Musimy zastąpić fałszywą jasność podziałów fizycznego pola bitwy niewidoczną linią podziału między dobrem a złem, niebem a piekłem, o której Solżenicyn pisał, że „przecina serce każdego człowieka”. Według św. Augustyna jest to także granica między Miastem Boga w trakcie „pielgrzymki” po świecie a Miastem Człowieka, którym rządzi apetyt i Zły. Nie wiemy i nie możemy wiedzieć, kto jest obywatelem, przy wszystkich świętych i aniołach, niebiańskiego miasta, a kto mieszkańcem ziemskiego – w tym życiu niewątpliwie zamieszkujemy je oba.

Rozruchy społeczne to rzeczywistość nie tylko polityczna, lecz także metafizyczna. A jednak w integralności duszy i sile naszych relacji, ożywionych łaską bożą i zawdzięczających jej płodność, posiadamy wieczne ziarna nadziei i zbawienia. Zawarte w encyklice *Laudato si'* wezwanie papieża Franciszka do demokratycznej odnowy – do „obywatelstwa ekologicznego” – połączonej z harmonią społeczną i duchową, oświeśla niezbędną drogę przed nami.

W chwilach burzy i rozruchów społecznych pokój początkowo należy zbudować w sercu walki. Światowy triumf ukoronowany pogodzeniem, które w wieczności jest zwycięstwem. Wyzwaniu naszej obecnej cywilizacyjnej *stasis* można stawić czoła jedynie powolną bronią duchową, wzmacnianiem cnoty, tworzeniem chrześcijańskich obywateli i mężów stanu zdolnych zaprowadzić spójność w chaosie. Poszatutowany i zagubiony Zachód znajduje się w kolejnym ważnym momencie – czasie ogromnego zagrożenia, ale także cennej możliwości odbudowy, odnowienia i zbawienia.



